

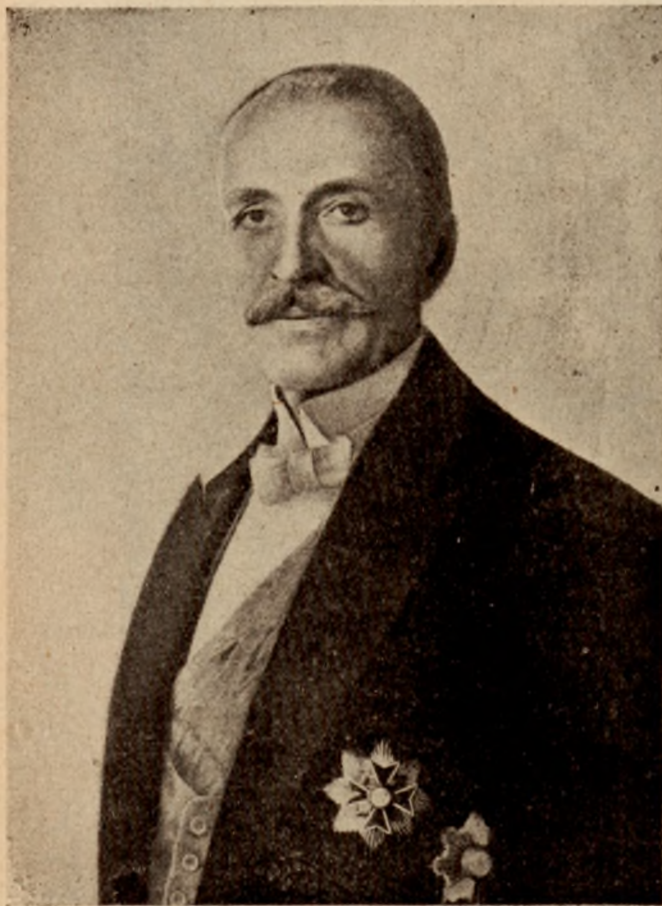
Ksawery Dunikowski: Głowa młodej kobiety. (Patrz art. T. Cieślewskiego, str. 149.)

DZIŚ I JUTRO

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII POZNAŃ, 1 LUTEGO 1937 NR. 10

Czy umiemy patrzyć?



— Czemu *ta* fotografia?! taka przecież dobrze znana, spowszedniała, jakby oklepana!...

Tak właśnie dlatego ta... a nie inna... Patrzymy na nią codzień setkami tysięcy oczu uczenic i uczniów w naszych klasach. I patrzymy nieraz bezmyślnie.

Fotografia... wiemy już odbija mniej lub więcej wiernie rzeczywistość. Tło jednolite pozwala skoncentrować całą uwagę na Osobie... A jednak...

Gdy mozolimy się w klasie nad zadaniami, gdy ziewamy na lekcji historii a przy lekturze polskiej jesteśmy duchem na ślizgawce — popatrzmy na fotografię Pana Prezydenta.

Myślące, badawcze oczy, co wnikały w tajniki fizyki i chemii, patrzą od lat wciąż, z natężeniem w życie Państwa naszego.

Czy znacie ten wiersz, gdzie mówi Staff o niestrudzonym, wiecznym czuwaniu bezsennym Sternika? Oczy te są często tak bardzo znużone ciągłym wysiłkiem.

Na dostojnym wysokim czole — wyryte na zawsze piętno, dźwiganego ogromu odpowiedzialności „przed Bogiem i historią", jak mówią Konstytucje. Znaczy się na tym czole ciągła myśl o dobru kraju, ciągła troska o wielkich zarówno i maluczkich. Kategorie te nie istnieją dla Tego, który wszystkich swoją myślą i swym sercem ogarnia.

My mamy chwile, godziny pracy ale jeszcze w naszym życiu są godziny beztroskie, jeszcze wiemy, że troszczą się o nas inni, — jeszcze śpiewamy „gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus!" A i godziny pracy chcielibyśmy jakoś... no, jakoś nieszkodliwie... przebrnąć...

A On? O, niestrudzone, wieczne czuwanie bezsenne!... Powaga Życia Obywatela wolnej Polski, powaga i naszej współodpowiedzialności za Jej losy, jeśli nie teraźniejsze, to przyszłe, idzie ku nam z fotografii Pana Prezydenta prof. Mościckiego.

Czy na tę twarz pełną wyrazu — na ten Symbol Spraw wielkich — patrzyć umiemy? *Jadwiga Szarska.*

Młynarczyk z Birów

Niemało zdziwił się stary młynarz w Birach, Mikołaj Bożek, kiedy otworzył gruby list. Młyn huczał licznymi kołami, woda szumiała głośno, na grobli bawiły się dzieci, a od pobliskich Beskidów leciał nagrzany żywicą pachnący wiatr.

Młynarz Mikołaj Bożek był już stary.. Zanim przeto zabrał się do czytania, nałożył okulary, usiadł na worze z mąką, westchnął ciężko i zamyślił się, patrząc w równe, drobne literki.

Oto syn pisze mu list z dalekiej Pragi czeskiej. Ten sam syn, który nie chciał zostać młynarczykiem w ojcowym młynie, lecz zachciało mu się nauk i dalekiego świata. I nie byłby go puścił z domu, gdyby nie wielebny ksiądz wizytator Leopold Szersznik w Cieszynie, który również się uparł, żeby syn Józef poszedł studiować.

— Powiadam wam — tłumaczył — że synek wasz zdradza przenikliwy rozum i wielki talent do mechaniki. Dajcie go do szkół, a ja wam pomogę! —

Trudno było odmawiać duchownej osobie, która piastuje zaszczytny urząd wizytatora szkół cieszyńskich. Trudno, nie było rady. Poszedł mały młynarczyk Józef do gimnazjum cieszyńskiego. Ho, ho!... Ile już temu lat! Potem gdzieś w Bernie na Morawach studiował, jakieś kunsztowne mechanizmy budował, zegary, maszyny i miły Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze. A potem udał się do Pragi czeskiej i tam przebywa już od kilku lat. Tyle tylko wiedział, że będąc na uniwersytecie praskim, cierpiał biedę i utrzymywał się tylko z naprawiania zegarków swoich kolegów. A gdy skończył studia, poszedł za nauczyciela do hrabiego Clam-Martinica. A potem jeszcze rzucił nauczycielstwo i stał się mechanikiem i zegarmistrzem politechniki praskiej.

Młyn terkotał rytmicznie, woda szumiała głośno, a wiatr coraz bardziej pachniał żywicą. Stary ojciec zaś trzymał list w dłoni i rozmyślał.

Oto wydaje mu się, że jeszcze widzi swojego synka, Józefa, jak wymyka się z młyna do komórki. O tak, dobrze zna tę komórkę. Synek zamiast pilnować młyna, to w komórce coś majstrował, jakieś koła zębate strugał z drzewa, zbijał, łączył, pasy przeciągał do głównego wału w młynie, a potem klaskał w dłonie i radował się, gdy jego maszynerie jęły się toczyć i klekotać. Trzeba było nieraz synka sprać paskiem za nieposłuszeństwo, a maszyny jego wyrzucić lub zgoła w piecu spalić. Ogromne utrapienie miał ze swoim synkiem. Bo jakże tu się nie gniewać na niego, jeżeli zamiast pilnować maszyn w młynie, klecił w komórce swoje cudaczne maszyny, a tymczasem w młynie działa się szkoda, gdyż był bez dozoru.

Przychodzili gazdowie i mówili:

— Panie Mikołaju, nie wiele pomocy macie z tego waszego młynarczyka!...

— Nie będzie on wam nigdy mełł dobrej mąki, nie!... — mówili drudzy.

— Oddajcie chłopca do szkół! — radzili inni.

Potem przyszedł wielebny ksiądz wizytator Leopold Szersznik z Cieszyna, bo i jego doszły słuchy o tym niezwykłym chłopcu w birowskim młynie.

— Dajcie mi waszego Józefa na jeden tydzień !— rzekł krótko.

— Nie rozumiem, wielebny panie! — rzekł zdumiony ojciec.

— No, żebyście pozwolili chłopcu pojechać ze mną do Cieszyna na jeden tydzień !

— Hm, kiedy mi jest potrzebny we młynie!

Lecz wielebny ksiądz wizytator uparł się i mały Józef pojechał z nim w bryczce do Cieszyna. Po tygodniu wrócili obydwaj do Birów.

— Wziąłem waszego chłopca do egzaminu i jako powiadam!... Rozum u niego nad wyraz bystry i głęboki, posiada talent nieposledni do mechaniki, nie ma rady, musicie go oddać do szkół. Inaczej zmarnowałby się u was, w waszym młynie!...

Ojciec skrzywił się i długo myślał, lecz potem wyraził swą zgodę i mały Józef pojechał z powrotem do Cieszyna.

Odtąd chłopiec już nie wrócił do młyna. Przyjeżdżał tylko na wakacje, lecz i wtedy nie było z niego wiele pomocy, bo znów siedział nad swoimi maszynami i ustawicznie nad czymś rozmyślał.

— Cóż tyle majstrujesz? — pytał go nieraz ojciec.

A syn wyjaśniał, że ten oto mechanizm, to model potrójnie złożonej dźwigni. A tamten, to nowy model tkacki, ten znowu — to model kunsztownego zegara ołomunieckiego. I tak bez przerwy. Budował jakieś misterne mechanizmy, młyny, windy, wiatraki, maszyny do wydobywania pni z korzeniami z ziemi, i miły Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze .

Już tyle lat minęło od tego czasu. Szkoda synka!... Poszedł gdzieś do świata, teraz w cudzoziemskiej Pradze siedzi i wciąż medytuje nad tymi mechanizmami i wynalazkami. Jeszcze chłopiec rozum postrada z tego wszystkiego! A tu już ojcu coraz bliżej grobu, nie ma komu młyna oddać, eh!...

Stary Mikołaj machnął dłonią.

Zaturkotała bryczka na drodze, Mikołaj podniósł znużone oczy, popatrzył pod słońce.

— Któż to może jechać? — zdziwił się, gdyż prócz wozów ze zbożem nikt tą drogą nie przejeżdżał.

— Cyżby wielebny ksiądz wizytator? — pomyślał. Wstał przeto i wyszedł przed bramę.

Istotnie był to ksiądz wizytator Szersznik.

— Mam wiadomość od waszego Józefa! — zawołał uradowany.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — przywitał go młynarz, zdejmując umączoną czapkę z siwej głowy i całując dłoń księdza wizytatora.

— Na wieki!... Ale widzę, że i wy otrzymaliście list od niego!... — rzekł wskazując na list, trzymany w ojcowej dłoni. — Co wam pisze?

— A list!... Nie wiem, wielebny panie, bo otrzymałem go przed chwilą, a jeszcze go nie czytałem!

— No, to poproście mnie do izby, będziemy go razem czytali!

Weszli do izby, usiedli za stołem. Za ścianą huczał młyn, za oknem szumiała woda, a słońce wędrowało po jasnej izbie i złociło święte obrazy, malowane na szkle.

Młynarz podał list księdzu wizytatorowi i czekał ze wzruszeniem, co mu teraz i list i wielebny ksiądz wizytator opowiedzą o jego Józefie. List był jedną wielką radością. Oto syn Józef donosi, że dzień 1 czerwca 1817 roku jest dniem jego zwycięstwa. W dniu tym bowiem zaprosił wszystkich mieszkańców Pragi nad rzekę Mołdawę, by im przedstawić swoją łódź parową i swój wóz parowy. Nad brzegami Wełtawy zebrały się ogromne tłumy mieszczan ze swoją zwierzchnością na czele. I oto przed ich zdumionymi oczami jęła sunąć w górę rzeki duża łódź, poruszana maszyną parową. Wszyscy widzowie byli zdumieni tym widokiem. Łódź popłynęła w górę, potem zawróciła i popłynęła z prądem, a na łodzi przy maszynie stał Józef Bożek i kierował jej biegiem. Ludzie nie chcieli wierzyć własnym oczom. Przecierali je, wytrzeszczali, dziwili się głośno, nie mogąc zrozumieć, że łódź może płynąć sama bez pomocy żagli i wioseł, poruszana dziwną maszyną parową. Krzyczeli przeto uradowani, klaskali i kwiatami rzucali na rzekę, a Józef uśmiechał się i kłaniał dostojnym panom i mieszczanom.

Potem przybił do brzegu, gdzie już czekał na niego wóz parowy. Wsiadł do niego, dwaj jego pomocnicy usadowili się z tyłu, poruszył małą dźwignią i wóz ruszył powoli drogą. Jechał wśród ogromnego tłumu, zebranego koło drogi, a tłum krzyczał znowu, wiwatował, klaskał w dłonie i radował się, że nieznany im dotychczas mechanik Józef Bożek dokonał tak wielkiego wynalazku.

Wielebny ksiądz wizytator czytał długo list Józefa. Ojciec zaś słuchał i nawet głośno oddychać nie śmiał, by nic nie uronić z tych dziwnych słów, prawiących o zwycięstwie jego syna. A kiedy w końcu wielebny ksiądz wizytator złożył list, ojciec westchnął z ulgą.

— Widzicie! A mówiłem wam, że z waszego Józefa stanie się wielki człowiek!... — rzekł ksiądz Szersznik po chwili.

— Ktoby to był pomyślał! — szepnął wzruszony ojciec.

— A jeszcze wam jedno powiem! To jest wynalazek wielki! Zobaczycie, gazdo!...

Maszyny parowe już były wynalezione przedtem, lecz nikt nie umiał ich zastosować do poruszania łodzi i wozów. Uczynił to dopiero wasz Józef, Ślązak z Cieszyńskiego, dnia 1-go czerwca w roku 1817!... Wprawdzie w roku 1814 niejaki Stephenson również zbudował swoją pierwszą lokomotywę w Anglii, lecz wasz syn nic o tym wynalazku nie wiedział. A czy wiecie o tym, że wasz Józef już w r. 1815 zbudował wóz parowy i że próba jazdy wypadła dobrze? Ha, widzicie! A nie chcieliście wierzyć, że z waszego młynarczyka Józefa stanie się taki sławny wynalazca! No, no, dziękujcie Bogu, że go obdarzył takimi zdolnościami i głębokim rozumem!... A ja zawsze mówiłem!...No, no!.... Nie mnie dziękujcie, tylko Panu Bogu Wszechmogącemu! — mówił, odsuwając swe dłonie, które stary młynarz Mikołaj chciał całować.

*

Józef Bożek urodził się na Śląsku cieszyńskim w Birach koło Cieszyna w roku 1782. Jego ojciec był młynarzem. Kształcił się w niemieckim gimnazjum w Cieszynie (polskiego gimnazjum wówczas jeszcze nie było na Śląsku), następnie w Bernie i w Pradze. Był on wynalazcą wielu ulepszeń we współczesnej technice, a w r. 1815 zbudował pierwszy wóz poruszany maszyną parową, w roku 1817 zaś pierwszą łódź parową. Niedoceniany przez ówczesne społeczeństwo borykał się z wielkimi trudnościami, o wynalazkach jego zaś zupełnie zapomniano. Umarł w roku 1835 w nędzy i opuszczeniu.

Był to więc pierwszy polski wynalazca łodzi parowej i wozu, poruszanego maszyną parową.

Gustaw Morcinek.

Kolorowe, bryłowate i czarnobiałe

Znam osobiście ludzi, którzy oglądając narysowany węglem bukiet kwiatów powiadają:

Ee, to takie czarne. A przecież kwiaty są takie barwne.

Brzmi to najwyraźniej jako niezadowolenie. Ktoś inny znowu na widok malowidła, przedstawiającego jakiś budynek skarży się: „to takie płaskie".

Otóż, kiedy uwag tego rodzaju słucha znajdujący się przypadkowo wśród publiczności na wystawie artysta, ogarnia go żal, że widzowie nie rozumieją, na czym polegają wartości dzieł sztuki. Jednego artystę to boli, drugiego śmieszy, że ludzie zachowują się tak nieodpowiednio wobec m a l o w i d e ł, r z e ź b albo r y c i n. Że żądają od malowideł tego, co mogą dać

przedstawić jej wygląd kolorem. Wyrzeźbić zaś tę samą figurę, to znaczy przedstawić jej wygląd b r y ł ą. wreszcie wyrytować — to znaczy przedstawić c z e r n i ą i b i e l ą.

I dlatego przyglądając się trzem dziełom sztuki na ten sam temat, musimy zachwycać się nie tematem, a przede wszystkim s p o s o b e m przedstawienia tego tematu. Wiemy doskonale, że twarz ludzką czy kwiaty albo owoce, malowane, rzeźbione i rysowane sto tysięcy razy, a mimo to za każdym razem, kiedy brał się do tego wybitny artysta, owe twarze, owoce i kwiaty były inne. Inne, bo inaczej przedstawione. Innym sposobem.



Skoczylas. *Osiedle góralskie.*

tylko rzeźby, a od rzeźb tego, co mogą dać ryciny i od rycin tego, co mogą dać malowidła. Że, krótko a jaskrawo mówiąc, chcą siedzieć na fortepianach, skarżąc się, że są niewygodne, a grać chcą na krzesłach, utyskując, że nie mają klawiszów.

Robiąc takie porównanie, oczywiście, mocno przesadziłem, ale proszę mi wierzyć, że dla artysty pretensja do ryciny, że nie jest kolorowa, a do malowidła że nie jest wypukłe, jest tak samo śmieszna i niedorzeczna jak — pretensja do krzesła i fortepianu.

Chcąc troszkę „znać się" na sztuce trzeba pamiętać o jednej zasadniczej sprawie. Trzeba pamiętać, że np. figurę ludzką można namalować, można wyrzeźbić albo wyrytować. I że za każdym razem powstanie innego rodzaju dzieło sztuki. Że za każdym razem należy podziwiać, lubować się czym innym, pomimo że i tu i tam oglądamy ten sam temat — figurę ludzką.

Musimy zdać sobie sprawę, że namalować figurę ludzką, to znaczy

To też kiedy mówimy: „ach, jakie to cudne, te kwiaty Wyczółkowskiego", albo „jakie piękne są kwiaty Wyspiańskiego", słusznie podajemy nazwiska artystów, bo podobają nam się kwiaty przez nich namalowane, a nie kwiaty same. Zachwycamy się kwiatami, jako roślinami, w przyrodzie, w naturze.

W dziele szutki zachwyca nas sposób namalowania, wyrzeźbienia czy wyrytowania kwiatów. I kiedy patrzymy na malowidło przedstawiające człowieka i na rzeźbę na ten sam temat, to powinniśmy przede wszystkim widzieć piękno kompozycji barwnej w pierwszym wypadku, a piękno kompozycji wypukłości i wklęsłości w drugim wypadku. Wtedy nie będziemy się martwili, że malowidło jest płaskie a rzeźba bezbarwna. Będziemy się znali na wartościach malar-

skich i na wartościach rzeźbiarskich. Ujrzawszy potem tę samą postać człowieka w rycinie, np. w drzeworycie, będziemy spokojni, że nie jest ani wypukła, ani kolorowa, ale właśnie czarno-biała. I znajdziemy w kompozycji czarnych i białych miejsc drzeworytu — plam, linii czy kropek rozmaitego kształtu, urok, jakiego nie może (i nie chce!) dać kompozycja wypukłości i wklęsłości, czyli rzeźba, albo kompozycja barwna, czyli malowidło.

Nie mogę dać przykładu kompozycji kolorowej, daję więc tylko przykłady rzeźb i rycin. Oczywiście, w reprodukcji nie można dać wypukłości rzeźby, poznania jej przez grę światło-cienia. Ale na wystawie można sprawdzić to, co wyżej powiedziałem. Innym razem bliżej opiszę, na czym polega malowanie, rzeźbienie i rytowanie. I jeszcze kiedyindziej, w którym nie można poznać, c o przedstawia, bo tym c z y m ś jest oderwana w temacie kompozycja barwna, bryłowata lub czarno-biała.



Święty Jerzy. *Rycina ludowa.*



Lublin. Pomnik Osmólskiego w kościele po-bernardyńskim.

*

Kończąc dzisiaj, bardzo proszę o zapytania, albo wyrazy krytyki tego co pisałem o Wyczółkowskim i dzisiaj. Chcę wiedzieć, czy piszę zrozumiale i czy Was nie nudzę.

Tadeusz Cieślewski Syn.

WSPÓŁZAWODNICTWO

Przy każdym źródle staję wraz z innymi
I razem z nimi idę w kolei pospołu.
Patrzę, jak oczekują chciwie, głodni, drżący od nadziei
I odchodzą radośni z rękami pełnymi.
Wszędzie, gdzie krzyczą „szczęście" — pędzę z całą zgrają
Opętaną nęcącym, błyszczącym mirażem.
Patrzę na rozpalone, nieprzytomne twarze,
Patrzę jak walczą, depcą, — zdobywają . . .
Lecz sam zostaję z boku. I w pędzącym tłumie
Zawsze jestem samotny — w ostatnim szeregu.
Nikogo nie zwyciężam, nie wymijam w biegu,
Nie pragnę walczyć . . . lub walczyć nie umiem.
Daremny trud. — Wytężę siły, wyścigu nie spóźnię,
Słabszych od siebie zepchnę, mniej silnych przegonię . . .
— Na cóż mi? Kiedy serce wyschnięte i próżne . . .
Cóż napełni po szczęście wyciągnięte dłonie?

HALINA ŁUCZYŃSKA.

Dwie idee

— Pani wie dobrze, że nie jestem katolikiem wierzącym, do spraw religijnych odnoszę się nietylko obojętnie, ale z dużą dozą krytycyzmu, — w dzisiejszym jednak układzie stosunków światowych twierdzę z całą siłą przekonania, że wobec grozy komunizmu cały świat kulturalny powinien stanąć we wspólnym obozie pod sztandarem Kościoła Katolickiego. Kościół bowiem jest dziś jedyną instytucją, która ma dosyć mocy, by się zwycięsko komunizmowi przeciwstawić. —

Z pod siwych, krzaczastych brwi patrzyły na mnie spokojne, mądre oczy.

— Tylko ludzie bardzo młodzi mogą się łudzić pięknym brzemieniem utopijnych haseł, głoszonych przez komunistów. W istocie swej komunizm jest prądem bardzo przyziemnym. W rzekomym dążeniu do realizacji postulatów miłości — sieje krzywdę i zniszczenie, pod hasłami pokoju — szerzy nienawiść, a idealną równość jednostek — w praktyce zastępuje unicestwieniem życia indywidualnego wobec teroru władz państwowych. Walka z kapitalistycznym ustrojem na terenie Sowietów sprowadza się — jak dosadnie scharakteryzował to w jednym z ostatnich przemówień Mussolini — do zapanowania „superkapitalizmu państwowego w najdzikszej jego postaci", co w rezultacie powoduje głód i nędzę mas.

Pięknie brzmiące hasła budowania nowego świata idealnego — prowadzą nietylko do zburzenia istniejącego ustroju polityczno - społecznego, ale do zniszczenia wszystkich zdobyczy kulturalnych, nagromadzonych w ciągu wieków. Komunizm, to przede wszystkim niszczenie bez tworzenia, to wielka negacja wszystkich ideałów, panujących w świecie Ducha.

Materialistyczny komunizm w dążeniu do opanowania całej kuli ziemskiej stara się porwać jednostki i masy. Akcja zorganizowana jest pierwszorzędnie. Warunki lokalne i podłoże psychiczne doskonale wyzyskane. Poszczególne państwa i społeczeństwa podminowane od wewnątrz. Zapasy energii gromadzone konsekwentnie i sprężyście. Ostatnie wypadki na te-

renie Europy i Azji dają moc dowodów całkowicie przekonywujących. Światu Ducha zagraża pierwszorzędnie zorganizowana potęga świata Materii.

Walkę z komunizmem prowadzić można tylko pod sztandarem wielkiej jakiejś idei, zdolnej skupić w solidarnej współpracy siły ilościowo i jakościowo imponujące.

Może powołane do tego były szeregi ideowców-socjalistów, co ze światem całym gotowi byli wziąć się za bary, byle złu walkę wytoczyć, w służbie Dobra trwając do śmierci.

Ale minęły lata i socjalizm zmienił nieco charakter. W dążeniu do osiągnięcia niektórych swoich celów — zniżył lot, zbliżając się do komunistycznego materializmu. Kiedy w roku 1920 ofenzywa bolszewicka na Warszawę groziła niebezpieczeństwem komunizmu w centrum Europy, dziełem socjalistów belgijskich i gdańskich było utrudnianie transportu broni i amunicji dla zagrożonej Warszawy. Dziś zaś socjaliści idą ręka w rękę z komunistami w całym szeregu państw w t. zw. „frontach ludowych", a dość przejrzeć współczesne dzienniki socjalistyczne, by spostrzec, jak wyraźnie solidaryzują się z czerwonym rządem hiszpańskim.

A zatem socjalizm zawiódł, jako zwornik sił walczących z komunizmem.

*

Inna idea — również bardzo piękna — to nacjonalizm. Bronić stanu posiadania i rozwijać wartości kulturalne własnego narodu. Z niebezpieczeństwem komunizmu walczyć poza granicami — i wewnątrz swego państwa.

Związały się te hasła z kwestią żydowską. Sprawą tą w tej chwili nie mogę się zająć poważniej, wymagałaby bowiem znacznie szczegółowszego omówienia. W każdym razie jednak niewątpliwie genezy tak charakterystycznego dzisiaj ruchu antysemickiego szukać należy nietylko w dziedzinie ekonomicznej, ale w popularności, jaką wśród Żydów cieszą się naogół hasła komunistyczne.

Nacjonalizm jednak także nie sprostał zadaniu.

W niektórych wypadkach siły swe rozdrobnił w bezcelowej akcji radykalizującej młodzieży. Gdzieindziej stworzył bezduszną masę bezmyślnie posłusznych sług państwa narodowego (jak w Niemczech). W najlepszym razie dał siłę poszczególnym grupom narodowym, pogłębiając różnice międzynarodowe i uniemożliwiając jednolitą akcję ogółu zagrożonej ludzkości.

Nacjonalizm, wzmacniając zwartość poszczególnych narodów, pogłębia antagonizmy międzynarodowe, a tym samym wzmacniając — jednocześnie osłabia front antykomunistyczny.

Komunizmowi musi się przeciwstawić Idea Wielka, idea ponadpartyjna, ponadnarodowa nawet, idea zdolna skupić całą ludzkość w obronie jej wartości kulturalnych.

A taką ideę reprezentuje dziś tylko Kościół Katolicki. —

Spokojne oczy, mądre mądrością wielu przeczytanych ksiąg, wielu widzianych zjawisk życia, wielu przemyślanych problemów i zagadnień, patrzyły w tej chwili w przestrzeń, gdzieś daleko poza ściany pudełka-pokoju.

— Tak, widzi Pani, ja jestem starym ateistą, ale kiedy czytam w gazetach o jasnogórskim ślubowaniu młodzieży polskiej, o postępach ruchu katolickiego na uniwersytetach, kiedy czytam teksty orędzi dostojników kościelnych w Hiszpanii, w Anglii, w Polsce, — kiedy słucham wigilijnych przemówień Papieża i Prymasa Polski — to czuję, że istnieje potęga, mogąca negacji komunistycznej przeciwstawić ideę pozytywnie - twórczą. I że w tym wielkim starciu dwu idei zwycięży ta twórcza — z pod znaku Krzyża.

Maria Traczewska.

Ósmaki

(garść refleksji maturzystki.)

Ósmaki! — Wiele kryje się w tym słowie. Jesteśmy pełne postanowień, planów i myśli, bo oto niedługo będziemy maturatae.

Wszyscy nam mówią, że jesteśmy najstarsze i — konsekwencja tego — najmądrzejsze i wogóle same naj, naj... superlatywy w dodatnim znaczeniu. Mamy być filarami społeczeństwa szkolnego.

Gdyby nawet nie grano nam na ambicji i nie przypominano naszych powinności, potrafiłybyśmy stanąć na wysokości zadania w myśl prastarej maksymy: noblesse oblige.

Co dały nam te lata, pomijając korzyści naukowe? (przepełnione bowiem jesteśmy wiadomościami i jak Sokrates mówimy: wiem, że nic nie wiem)?

Dały nam wiele. Z bandy egoistów przerobiłyśmy się na dość solidarne społeczeństwo. Nauczyłyśmy się współkochać, chwilami także współnienawidzić, ta prawda, (ale życie nie pozwala na zrealizowanie samych ideałów).

W szkole przeważnie zawiązują się nasze przyjaźnie. Na ławkach szkolnych opłakujemy nasze różne niepowodzenia życiowe. — Radością naszą rozbrzmiewają korytarze. Kaplica szkolna pełna jest westchnień, próśb i dziękczynień naszej pierwszej młodości.

W szkole kształtujemy nasz światopogląd, oparty na długich, mocno ożywionych dyskusjach. Szkoła t. j. A. B. C. życia. —

Osiem lat to szmat czasu w życiu człowieka. Okres metamorfoz. Najlepiej same zauważyłyśmy to, prawda? Byłoby bardzo dobrze, gdybyśmy mogły powiedzieć, żeśmy tych lat nie zmarnowały, żeśmy nie tylko potrafiły brać, ale żeśmy ze siebie dawały. Jeżeli mamy to zadowolenie wewnętrzne, ono już jest największą nagrodą dla nas. .

Za kilka miesięcy będziemy samodzielne, w pewnym procencie znaczenia tego słowa.

A oto teraz my, weteranki, zastanawiamy się, co będziemy czynić z tą wolnością? Na ogół jesteśmy bardzo niezdecydowane. Projekty z dnia na dzień krystalizują się, lub zmieniają formę. Zastanawiamy się nad wyborem zawodu. To takie strasznie odpowiedzialne. Wybieramy coś, w czym będziemy tkwić całe życie. Nasze zadowolenie, lub sfuszerowanie życia zależy od nas. Czy jesteśmy przygotowane do tak decydującego kroku?....

Peer-Gyntami chyba nie będziemy!

— — — — — — — —

Wnet będziemy dojrzałe. Matura, ta niezbędna formalność, zadokumentuje to. Wnet odwróci się karta życia. Mamy popatrzyć z odwagą w otwierające się jutro. Musimy być silne, zahartowane, bo życie nastręczy nam bardzo wiele sposobności do zdania prawdziwego egzaminu dojrzałości.

Horwath Maria, VIII. 643.

Nasza stara znajoma — herbata

Jak z używaniem herbaty przez człowieka bywało — zobaczymy, okaże się, że — bywało bardzo różnie.

Gdzieś, na drugiej półkuli, plantacje herbaty pokryte są teraz delikatnym, aromatycznym kwieciem.

Herbata i jej właściwości znane były ludzkości od niepamiętnych czasów. W zaraniu służyła ona jako lekarstwo z domieszką innych ziół i rosła dziko.

W pierwszej epoce liście herbaciane rozcierano, robiono z nich papkę i gotowano z przyprawami korzennymi, mlekiem, ryżem oraz cebulą. Dziś jeszcze w niektórych okolicach Syberii piją herbatę z domieszką mięty, w Mandżurii tubylcy dodają do herbaty soli, a Buriaci piją herbatę, zaprawioną cebulą. Tak przyrządzona herbata ma posiadać rzekomo właściwości lecznicze przeciwko wszelkim chorobom azjatyckim. Na Syberii jest powszechnie w użyciu herbata t. zw. cegiełkowa. Jest to najtańszy gatunek herbaty prasowany w kształcie cegiełek.

W wieku VIII sposób przyrządzania herbaty nabiera większej doskonałości. Wszystkie dodatki oprócz soli zostają zaniechane. Ciasto z herbaty gotuje się na ogniu aż do stanu zupełnej miękkości, poczem zostaje ono roztarte pomiędzy dwiema cieniutkimi deszczułeczkami i następnie gotowane aż do wrzenia.

W wieku XII herbata przechodzi drugi etap w sposobie przyrządzania. Herbata gotowana ustępuje miejsca herbacie „tartej". Liście herbaty odpowiednio wysuszone, tarto na miał herbaciany, wsypywano do naczynia z gorącą wodą i ubijano pręcikiem bambusowym. Herbata była spożywana bez wszelkich dodatków, a więc i bez soli.



O ZMIERZCHU

Z cichej dali, mglistej dali
płynie ku mnie twa tęsknota
na błękitnej wiatru fali
i me serce cicho mota
nicią wspomnień, jak pajęczą
siecią lekką i przejrzystą,
co się cudną tęczą błyszczy
rozedrganą, promienistą . . .

Z ciemniejącej w zmierzchu dali
płyną do mnie myśli twoje
i me serce w łzach skąpane
napełniają niepokojem . . .
W cichej dali, smutnej dali
płynie smutek mój do ciebie.
. . . Dziwnym szeptem wiatr się żali . . .
Pierwsze gwiazdy lśnią na niebie . . .

Krysia Korewicka.
gim. 643.

W wieku XVI przechodzi używanie herbaty ostatnią fazę swego rozwoju. Przyrządza się ją, parząc liście we wrzątku. W tej właśnie epoce przenika herbata po raz pierwszy do Europy i zostaje w niej stopniowo rozpowszechniona.

Nigdzie jednak herbata nie cieszy się takim powodzeniem, jak w Japonii. Ażeby zrozumieć, jak wielką wagę przywiązują Japończycy do przyrządzania i picia herbaty oraz do piękna, które ma towarzyszyć piciu herbaty, przytaczamy słowa sławnego poety japońskiego, Sama-Kuro, który powiedział: „Istnieją trzy rzeczy najbardziej godne pożałowania: deprawowanie cudownej młodości, profanowanie pięknych obrazów przez podziw tłumów i marnowanie dobrej herbaty przez złe przyrządzanie". Herbata zatem, aby wykazać swe najszlachetniejsze właściwości, wymaga ręki mistrza.

Od VIII w., to jest od czasu, kiedy Japonia po raz pierwszy poznała herbatę, panuje tam nieprzerwanie specjalny kunszt przyrządzania cudownych liści aromatycznej herbaty. W japońskiej ceremonii picia herbaty pełno jest poezji: czynność ta stała się kultem sztuki życia, świętym obrzędem, w którym gość i gospodarz łączą się na chwilę dla najwyższej rozkoszy świata.

Do picia herbaty służą w Japonii specjalnie urządzone pokoje. Pokój taki składa się z właściwego pokoju do herbaty, przeznaczonego do przyjmowania gości, oraz z przedpokoju, gdzie myje się i przygotowuje naczynia konieczne do przyrządzenia herbaty. W pokoju do herbaty musi panować bezwzględna czystość. Prostota pokoju do herbaty wraz z harmonijną pięknością jego urządzenia, czynią zeń prawdziwe sanktuarium, gdzie można się oddać bez przeszkody głębokim rozmyślaniom i uwielbieniu piękna.

Poza uprawą herbaty w Chinach i Japonii, kulturę jej prowadzi Ceylon w najszlachetniejszych gatunkach, oraz kolonie angielskie w Indo-Chinach.

Brazylia uprawia zupełnie odmienny gatunek herbaty, znanej pod nazwą „herbaty parańskiej", „jezuickiej" lub „zielonej". Przyrodnicza jej nazwa jest Ilex paraguayensis. Głównymi rynkami dla eksportu tego produktu są rynki: argentyński, chilijski i urugwajski, dokąd Brazylia eksportuje około 100.000 ton rocznie. Producentami tej herbaty są w znacznej części polscy koloniści w Paranie.

Herbata ta nie ma jednak zbytu w Europie ze względu na swój smak i kolor. Ma ona bowiem kolor zielonawy i ustępuje znacznie w dobroci, aromacie i smaku herbacie chińskiej. Z tych przyczyn próby wprowadzenia tego produktu na rynki europejskie spełzły na niczym.

W Brazylii panuje ciekawy sposób picia tej herbaty. Do małej tykwy nasypuje się startej na proszek herbaty, poczem zalewa się ją wrzątkiem; następnie do tykwy, często ozdobnej w ornamenty, wkłada się rurkę o spłaszczonym ustniku, zaopatrzoną na końcu sitkiem, zapomocą tej rurki ssie się gorący, gorzki płyn. Od czasu do czasu gospodarz dolewa wrzątku i rurka krąży z rąk do rąk, po kolei między gośćmi.

Herbata parańska posiada właściwości lecznicze. Na podstawie doświadczeń, dokonywanych przez wybitnych lekarzy, stwierdzono, że herbata wzmaga ruchy serca oraz narządów oddechowych, gasi pragnienie, jak żaden inny napój, oczyszcza krew, ułatwia trawienie i wzmacnia apetyt. Opinia ta powinna wystarczyć, ażeby herbata ta zdobyła sobie nasze rynki europejskie, lecz niestety, w grę wchodzi bardzo ważny czynnik, wspomniany już przedtem — mianowicie smak i kolor.

Żniwa herbaciane zaczynają się w połowie lipca. Z krzewów herbacianych obcina się liście razem z drobniutkimi gałązkami, wiąże się je w pęczki łykiem trzcinowym. Następnie przenosi się je do suszarni. Jest to duża szopa, do której za pomocą długich kanałów dochodzi rozgrzane powietrze, ogrzewające jednak nie herbatę bezpośrednio, lecz glinianą podłogę. Herbatę rozsypuje się na specjalnym rusztowaniu na wysokości około 2 m. nad podłogą, gdzie suszy się ona około 10 godzin. Do cięcia herbaty używa się specjalnych noży, przypominających nasze noże myśliwskie. Jeden robotnik może naciąć około tony liści i gałązek w ciągu dnia. Po wysuszeniu herbata idzie do sortowni, następnie do pakowni, skąd wyrusza już w daleki świat.

A na wiosnę (w listopadzie) krzewy stroją się już w drobniutkie, żółtawe kwiaty o silnym aromacie i pokrywają niezmierzone połacie pól herbacianych.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

Psie serce

Rass był dziwnym psem. Zawsze sam uganiał gdzieś, własnymi drogami. Tajemnicze to były wędrówki. Zdarzało się, że trwały po dwa, trzy dni. Celem jego wycieczek był stary las, pola lub brzeg rzeki. Jedno było pewne: podczas tych spacerów Rass nikomu nic złego nie zrobił.

Inne zwierzęta uważały go za anormalnego, śmiały się, że zwiedza kraj i natrząsały się z jego wstrętu do krwi. Rzeczywiście, Rass nigdy nie zagryzł zająca, ani nawet kury, był też za porządnym psem, by się wdawać w bójki z innymi.

Jego właścicielka, urocza Francuzeczka, lubiła go bardzo, ale nie rozumiała jego psiej duszy, to też ile razy wracał po dłuższej nieobecności, gniewała się i zamykała go w pokoju.

Rass był wtedy bardzo nieszczęśliwy, wył i drapał w drzwi, aż go wypuszczono. Wyzwolony, skakał i merdał ogonem z radości i przesiadywał jakiś czas przy swej pani, chcąc jej tym okazać wdzięczność. Ale sielanka taka nie trwała długo; wkrótce Rass znowu gdzieś pędził. Czuł konieczność ruchu, miał we krwi coś, co go zmuszało do ustawicznej wędrówki... W swych samotnych włóczęgach z niepojętą miłością wchłaniał zapachy ziemi, rozkoszował się cieniem lasu, powietrzem i wiatrem. Czuł się wtedy bardzo szczęśliwy. Radował się poważnie, dostojnie, można go było nazwać — szczęśliwym filozofem. Rozmyślał bowiem i rozważał wszelakie zagadnienia w swojej mądrej, psiej głowie.

A jednak — czasem w oczach jego malował się jakiś lęk. Czyżby przeczuwał to, co idzie?

Pani Żaneta pochodziła wprawdzie z rodziny francuskiej, ale mieszkała w Polsce tak dawno, że zapomniała niemal o rodzinnym kraju. Przy tym w majątku męża czuła się doskonale, towarzystwa i rozrywek miała dość, nie tęskniła więc za powrotem. To też przeraził ją ostatni list męża. Długo nie mogła przyjść do siebie — treść była ogłuszająca. Zbankrutowali, majątek wystawiony na licytację. Spekulacje pana Poreckiego zawiodły, jego zmysł do interesów i handlu okazał się urojonym; zrujnował nie tylko siebie, ale i licznych wierzycieli. Muszą wyjechać czemprędzej, by uniknąć przykrych następstw. Schronią się tymczasem we Francji.

Sprawa była tak nagląca, że już w tydzień zlikwidowali dom i wyjechali. Rassa, największego ulubieńca, wzięli z sobą.

Ale Rass już nie był dawnym Rassem... Zmienił się do nie poznania, cho-

dził zgnębiony i osowiały, jakby rozumiejąc, że dzieje się coś nadzwyczajnego. Nie wracał prawie wcale do domu. Nic to jednak nie pomogło — państwo Poreccy postanowili go zabrać, nie było więc żadnej apelacji. Mimo, iż uciekł w samym dniu wyjazdu, odnaleziono go, pojechał.

W czasie podróży mało się nim zajmowano, bo państwo Poreccy mieli dość własnych kłopotów, rozmyślali też o przyszłym swym losie.

Mordka Rassa wydłużała się powoli, smutniał coraz bardziej... Z chwilą przejechania granicy ból jego zwiększył się jakby instynktownie. Nos miał gorący, oczy błędne, nie jadł i nie było sposobu rozerwania go...

Po przyjeździe na nowe miejsce pobytu stan zwierzęcia nie poprawił się. Coś go żarło wewnątrz, coś trawiło nieznośnie.

Po tygodniu takiej męki zrodziło się w psim sercu silne postanowienie. Dnia tego był milszy, niż zwykle, dla swej pani, wieczorem długo leżał u jej nóg i lizał jej rękę. Żegnał się — wracał do kraju!

Ile po drodze zniósł obelg od psów, a lekceważenia od ludzi, to on tylko wie. Ludzki włóczęga może się przynajmniej wytłumaczyć, powiedzieć coś o sobie. Pies — przybłęda nie może na swoje usprawiedliwienie powiedzieć nic.

Stronił więc coraz bardziej od wszelkich żywych istot, przebiegając olbrzymie przestrzenie za jakimś dziwnym głosem wewnętrznym.

Żywił się przez ten czas wszystkim i niczym i gdyby nie jakaś zacięta wytrwałość, nie wytrzymałby tej wędrówki. Wynędzniał, schudł, ale oczy mu się świeciły i szczerzył zęby w jakimś radosnym uśmiechu, że już niedaleko. Żył nadzieją.

Blisko granicy pędził z całych sił. Jeszcze kilka kroków, już, już bliżej celu, bliżej tej ziemi, którą zna i kocha...

Nagle ostry ból w samo serce... Sprężenie sztywniejących nóg... Celny strzał wartownika zabił psa-przybłędę na progu wytęsknionej ojczyzny.

Wielkie psie serce nie cieszyło się nią długo...

Lwów, gimn. 643.

Baśka Mniszkówna.

Rozum i serce

Popołudnie było mgliste, deszczowe, przykre, gdy szłam ciemną, boczną ulicą stolicy, aby zwiedzić Izbę Zatrzymań Nieletnich. Skręciwszy w podwórze domu, mieszczącego Szkołę Oficerów P. P., i otrząsając się z deszczu i śniegu weszłam po kilku schodkach do Izby Zatrzymań w oficynie.

Przywitała mnie i zaskoczyła jasność ścian, światło i czystość, spokój i pogodny nastrój zdający się stale panować w tym małym mieszkanku.

W kancelarii, w gabinecie, w przedpokoju — wszędzie granatowe mundury policyjne: to Kobieca Policja Państwowa, pierwsze umundurowane policjantki warszawskie.

Izbę Zatrzymań ufundowała Rodzina Policyjna ofiarowując ją Głównej Komendzie Policji Państwowej, która ze swej strony, przekazała ją Kobiecej P. P., na czele której stoi inspektorka p. Paleog. Oddawna już dawał się odczuwać brak instytucji, któraby zbierała i przygarniała dzieci opuszczone, zabłąkane, podrzucone, wałęsające się lub zgubione, któraby identyfikowała malców, umieszczała ich w odpowiednich zakładach, odprowadzała do rodziców i t. d.

Dzieciaki sprowadzane są zewsząd: z ulic, z dworców kolejowych, z hal targowych i t. p. Poddawane są one przede wszystkim gruntownemu wyszorowaniu. Rzeczy oddaje się do dezynfektorni przy więzieniu Centralnym, zaś malcy przebrani zostają, w miłe dla oka, szafirowe flanelowe ubranka lub sukienki. Następnie mali pupile dostają jeść i najczęściej idą spać . . .

A policja przeprowadza tymczasem wywiady i, w przeciągu 48 godzin, rozstrzyga się los dziecka: zostaje ono bądź odprowadzone do rodziców, bądź umieszczone w Pogotowiu Opiekuńczym dla Dzieci, bądź wysyłane do

TYLKO SEN...

RODZICOM

Rzeczywistość? . . . jawa? . . . Tylko sen,
co przeminął, przeszedł bezpowrotnie.
— Włosy moje złociste jak len,
— oczy moje figlarne i psotne.

O, pamiętam, jaki rączy koń
był z Twego, mój Ojcze, kolana!
Jak ogromną była Twoja dłoń,
przyjacielska, ojcowska, kochana.

Pamiętacie, jaki straszny huk
ołowiana robiła armatka?
A gdy, biegnąc, upadłem przez próg,
kto troskliwie utulił mnie? — Matka.

Przeminęło kilka krótkich lat . . .
Dziś już głową dostaję sufitu.
Próżno pragnę, by słoneczny świat
był — jak dawniej — źródłem mych zachwytów.

Tylu rzeczy na próżno chcę dziś,
tylu gwiazdek niedostępnych z nieba . . .
Chociaż niby dojrzewa ma myśl,
lecz — mi słońca miłości wciąż trzeba.

Wiesław Pyrek.

---

właściwej gminy lub na koszt tejże gminy skierowane do odpowiedniego zakładu wychowawczego.

Miejsc jest 20—30. W dwóch niezbyt dużych pokojach, w których na ścianach wiszą napisy: „Policja jest twoim przyjacielem", „Zaufaj nam", „Zastanów się nad sobą", stoją jasne, proste meble, zaś prycze do spania, składające się z higienicznych politurowanych szczebli, są ruchome i na dzień przytwierdzane zostają do ściany, kładzie się na nich grube koce, które też służą do przykrycia.

W pierwszym pokoju zastaliśmy kilkanaścioro dzieci, w wieku od lat 5 do 15; na stole, pod opieką starszych, siedzi dwuletnie bobo i poważnie się rozgląda; znaleziono je: będzie identyfikowane i ewentualnie rodziców pociągnie się do odpowiedzialności karnej za niedozór lub podrzucenie ale narazie maleństwo zostało nakarmione i umyte, wyspało się i w błogosławionej swej nieświadomości czeka spokojnie, co mu los ześle.

Dzieci grają w warcaby, szachy, słuchają radia, skupiają się przy wychowawczyniach. Jest ich dwie, ale druga myje właśnie w łazience nowego pupila i słychać z za drzwi płaczliwe protesty:

— Za co ja się mam kąpać! Ja nic nie zrobiłem złego! —

W pokoju następnym śpią na pryczy dwie małe dziewczynki; jeszcze niewiadomo kim są i do kogo należą; sprowadzono je każdą oddzielnie, z rozmaitych dzielnic miasta. Zgubione? Podrzucone? Zabłąkane?

Pośrodku pokoju pali się u sufitu duża lampa, dookoła rozmawia kilkanaście osób, lecz one śpią, małe ofiary losu, śpią tak, że pot kropelkami ścieka im po buziach. Kiedy i gdzie spały dotychczas? Czy doznały w swym krótkim życiu kiedykolwiek serca i opieki?

Chyba nie: chudziutkie to i blade, a oczki mają podkrążone i usteczka bezkrwiste.

Czy miały dobrą opiekę? Czy patrzyły na nie kiedy tak poważne i dobrotliwe oczy, jak tu błyszczą z pod daszków policyjnych czapek?

Bo w Izbie Zatrzymań widać twarze okrutnie marsowe, rozświetlone blaskiem łagodnych rozumnych oczu; widać postacie opięte w urzędowy mundur kryjący łagodne kobiece serca; palce przykładają się twardo do czapek oddając przepisany ukłon, lecz ręce te są miękkie, często wypielęgnowane, ręce inteligentne; słychać krótkie dobitne pytania i odpowiedzi wypowiadane melodyjnymi jasnymi głosami młodych kobiet.

I dzieciaki tę dobroć wyczuwają: garną się do swych przygodnych opiekunek, wierzą ich pociechom, radom i zapewnieniom, że „będzie dobrze".

O tak, będzie dobrze, bo w Izbie Zatrzymań panuje nietylko rozum lecz i serce.

M. S. Stokowska.

Dla gości

Ciastka makowe

25 dkg. mąki, 8 dkg. masła, 6 dkg. cukru, 10 dkg. maku, 2 żółtka, śmietana, proszek spulchniający (na koniec noża), sól, skórka cytrynowa, jajo i tłuszcz do smarowania blachy.

Mąkę posiekać z masłem, wymieszać z cukrem i makiem, po tym zagnieść z żółtkami, solą, skórką cytrynową, zarabiając ciasto tak gęste, jak na kluski. Gdy wszystkie składniki dobrze się połączą, pozostawić do wypoczęcia, a tymczasem wysmarować blachę. Teraz wyrobić ciasto z proszkiem spulchniającym, rozwałkować i wykrawać ciastka różnymi foremkami, układać je na blasze i smarować rozbitym jajem. Ciastka piec w piekarniaku dobrze wygrzanym, ale nie zbyt gorącym, na kolor złoty.

Serowiec

Ciasto: 12 dkg. mąki, 12 dkg. masła, 12 dkg. cukru w mączce, 1 jajo. Nadzianka: 25 dkg. masła, 25 dkg. migdałów, 1 kg. sera białego, 10 żółtek, cukier w mączce do smaku, 1½ laski wanilii, 2 łyżeczki skórki cytrynowej, 10 dkg. smażonej skórki pomarańczowej.

Mąkę z masłem posiekać, wymieszać z cukrem, dodać jajo, zarobić i dać do wypoczęcia. Wyłożyć ciastem dno tortownicy, upiec na kolor złoty w dobrze nagrzanym piekarniaku.

Ser przepuścić przez maszynkę od mięsa; sparzyć i zemleć migdały; posiekać skórkę pomarańczową, zetrzeć wanilię. Utrzeć masło z żółtkami, dodać ser, migdały, cukru do smaku, wanilii, skórki cytrynowej i pomarańczowej. Masę tę wyłożyć na upieczony placek i upiec w dobrze wygrzanym piekarniaku. Przybrać z wierzchu skórką pomarańczową.

M. T.

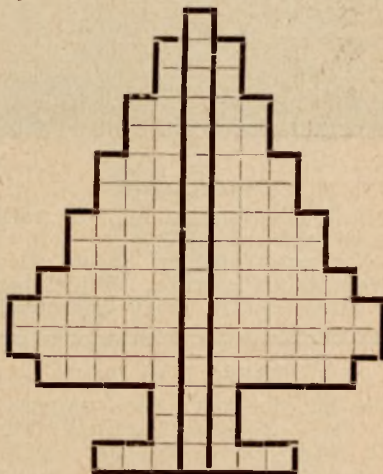
Surówka bakaliowa

25 dkg. jabłek, 10 dkg. suszonych śliwek, 10 dkg. fig, 10 dkg. cukru, szklanka wody, sok z cytryny. Zalać śliwki wodą na 12 godzin, pokrajać w paski jabłka, figi i śliwki, zalać wodą z cukrem, dodać cytryny, wymieszać i wynieść na zimno na 2 godziny.

Łamigłówka

Ułożyła K. B. gimn. 440

Wpisać poziomo wyrazy o podanym znaczeniu. Rząd środkowy da aktualne dzisiaj hasło.



Znaczenie wyrazów

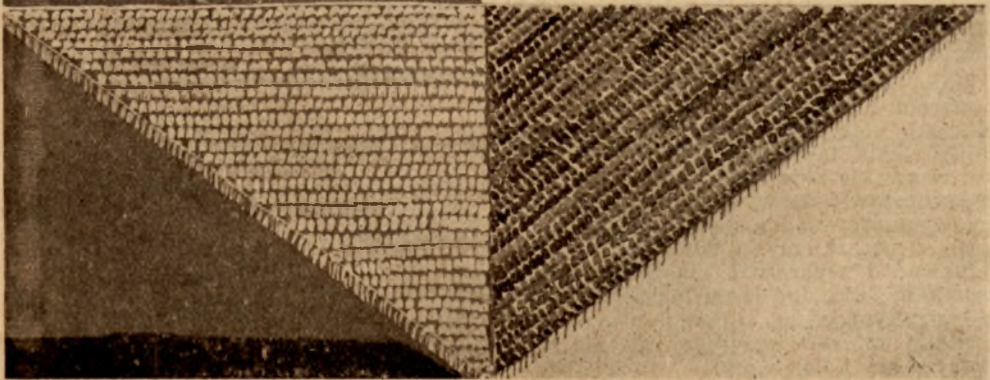
1) Spółgłoska. 2) Rodzaj drogi. 3) Owad. 4) Rodzaj utworów literac. 5) Inaczej słuszność. 6) Robotnik cmenarny. 7) Imię żeńskie zdrobn. 8) Rodz. drzew szpilk. (licz. mn.). 9) Nie biorący udziału. 10) Miasto w Polsce. 11) Król polski z dynastii Piastów. 12) Dział matematyki. 13) Miejscowość historyczna. 14) Zaimek. 15) Członek rodziny. 16) Zboże zasiane w jesieni.



Szkoła Zawodowa, Rybnik

Chustka-Trójkąt

300 oczek nabiera się na drut. W drugim rzędzie w połowie zbiera się oczka razem na prawo. Na końcu każdego rzędu z dwu oczek robimy jedno. Cała chustka jest robiona ściegiem na prawo.



Ciężkie czasy

— Ach, jaki śliczny, maleńki ratlerek! Gdzie go pani nabyła?

— Nie mów mi pan o tem. Dawniej oprowadzałam brytana... Widzi pan, do czego mnie ciężkie czasy doprowadziły?

Pytania

Który rok trwa tylko jeden dzień?

W którym miesiącu ludzie jedzą najmniej?

Jak kończy się kij?

Który miesiąc jest najdłuższy?

TREŚĆ N-ru 10:

Warunki prenumeraty: rocznie w kraju 5 zł.
„ za granicą 7 zł.

Numer pojedyńczy 30 gr.

Konto P. K. O. „Dziś i Jutro" 404 930.

Redaktor naczelny: Jadwiga Szarska, Warszawa, Łowicka 31.

Wydawca i red. odpow.: Jadwiga Bahr.

Adres redakcji: Warszawa, Łowicka 31.

Czcionki i druk: Drukarnia Polska Spółka Akcyjna w Poznaniu, św. Marcin 70.